

Bryk

Od tej nocy zmieniło się moje życie.

Nie pamiętam już jego imienia. Może Stanisław? Nie wiem. Wszyscy na oddziale mówili o nim Bryk. Bryk to, Bryk tamto. Nietrudno było zauważyć, że piguły często o nim szeptały. Ale jakoś tak dziwnie...

Nie zwracałem na to uwagi. Wraz z kolegami ze szpitalnej sali rozbieraliśmy na czynniki pierwsze fakt, że zgłosiłem się do szpitala dzień później, niż powinienem. Zwyczajnie zabalowałem ostro w akademiku. A nie przystoi zgłaszać się do szpitala w stanie wyraźnie wskazującym. Ponadto otworzyłem spuchnięte oczęta w towarzystwie jakowejś dziewczyny, której za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć. I druhowie ubaw mieli po pachy, że skoro już jestem na dermatologii, to i z syfa też mnie wyleczą. Bo, że go musiałem złapać, nie mieli wątpliwości. Świnie!

Bryk leżał w izolatce. Spostrzegłem, że siostrzyczki wchodziły do niej niechętnie. Z naręczkami gaz, butlami jodyny, opakowaniami bandaży. Kiedyś podsłuchiłem jak się kłóca, rzucając qurwami. Żadna nie chciała tam pójść. A ta, która akurat musiała, była najzwyczajniej wściekła. Na maksa...

Przechodząc obok izolatki Bryka zawsze czułem smród. Taki dziwny, mdląco-słodki. I smród ten stawał się nie do zniesienia. Obrzydliwość.

Któregoś wieczora, bardzo apetyczna, siostrzyczka poprosiła, bym wpadł do "zabiegowego" po dziesiątej wieczór. Bo już lekarza ma nie być na oddziale... O matko! Nie mogłem się na to szczególne rendez vous doczekać. Dokonawszy stosownej "hygieny" czekałem. I marzyłem...

Ona też czekała... Była zaiste zjawiskowa! Jej perfumy zmieszane ze swoistym zapachem gabinetu zabiegowego, tworzyły jakąś psychodeliczną aurę. Na stole stała zlewka, w zlewce spirytus. Normalny, nieskażony. O czym poinformowała mnie bez zbędnych ceregieli.

No nie! Pomyślałem. Z pigułą, w zabiegowym i przy spiracie! Tego to jeszcze nie grali...

Po wstępnym tui, tui, tui, i ble, ble, ble. Po rozcieńczeniu "spirtu" i wychyleniu "szczeniaczka", przeszła do konkretów. To znaczy prawie...

Bo warunkiem konkretów było, bym poszedł, umyć i ogolić Bryka. Bo ona nie umie, bo jej jest trudno, bo to, bo tamto! Bo zawsze ona. A jej koleżanki to...

Zaraz, pomyślałem. A co to ja męska kurew jestem? Że tak z nagłego i niespodziewanego napadu miłości, to rozumiem. Ale, żeby tak coś za coś? No, w "tych sprawach" to ja nie lubię wyrachowania.

Widziała, że się waham, że toczę bój heroiczny. No całkiem głupia nie była. Była nie całkiem... Przeszła więc do ostatecznej ofensywy.

Jak Bryk nie będzie rano ogolony i umyty, to zwolnią ją z pracy, bo jakoweś "profesury" mają o poranku do Bryka się zjechać i nad Brykiem uczenie debatować.

No i poszedłem.

Przeciekający przez drzwi izolatki smród, byłby mnie powalił, gdyby nie lekkie, zastosowane w zabiegowym, znieczulenie. Ono też, czasami, jest dobre na odwagę...

Leżał na łóżku. Nie miał już twarzy, tylko gnijącą, cieknącą ranę. Nie miał warg, tylko ich strzępy. I się uśmiechał. Nie, nie udawał. Tego uśmiechu, paradoksalnie niedorzecznego, nie można zapomnieć. I

tych oczu. Pięknych, mądrych i dobrych. I tak przesywających, że do dziś się wzdragam, kiedy o nim myślę.

Zabandażowaną, drżącą ręką sięgnął, niespiesznie, po protezę, która szyderczo się szczyrzyła, leżąc na nocnej szafce. Jednym ruchem, w którym widać było wieloletnie doświadczenie, włożył ją do ust i powiedział:

-Dobry wieczór, nie wiem, kim jesteś, ale bardzo się cieszę, że cię widzę". I słowa, które do dziś mnie przesywają:

-Wiedziałem, że przyjdiesz, czekałem na ciebie.

Kiedy go goliłem, usiłując omijać żyłką wybroczyny, nic nie mówił, tylko bardzo uważnie mi się przyglądał. Nie wiem jak to opisać, ale w jego wzroku była jakaś absolutna determinacja i równie absolutny spokój. I mądrość, i dobro.

I cisza.

Kiedy rozwiązywałem bandaż, które rwały strzępy jego ciała i uwalniały posokę ściekającą na pościel, zaczął swoją opowieść. I był zupełnie obok rzeczywistości. Nie cierpiał. Już nie.

-Byłem ministrantem ojca Maksymiliana Kolbe, rozpoczął.

-O kurna, znowu katol, pomyślałem.

I kiedy przemywałem wodą z mydłem jego ciało, kiedy jodyną smarowałem brzegi paskudnych, ropiejących ran, on opowiadał. Opowiadał przepięknie. Prawdziwie, mądrze. Był zatopiony w zupełnie innej rzeczywistości. I, z wolna, ja się w niej zatopiłem.

Swoje czynności wykonywałem bezwiednie i nieświadomie. A jednak perfekcyjnie. Byłem zaś zupełnie gdzie indziej. W innym i o Niebo lepszym świecie. W jedynym, prawdziwym.

Z milionów.

Nie czułem smrodu, nie widziałem gnijącego ciała Bryka, tylko towarzyszyłem mu w wędrówce. Widziałem, czego oczy nie widziały, słyszałem, czego uszy nie słyszały. Cała, tak zwana, rzeczywistość nie istniała. Była złudzeniem, nieprawdą, karykaturalną bzdurą. Ułudą niewartą uwagi. Nicością.

Kim on był, ten odrażający starzec?

Kim On był?

Nie wiem kiedy zmieniłem mu pościel. Nie wiem jak to zrobiłem. Kiedy się żegnaliśmy był zabandażowany w świeże opatrunki, czysty i ogolony. Leżał w białej pościeli. Spokojny, uśmiechnięty, szczęśliwy.

Gotowy.

Wszedłem do zabiegowego. Była obrażona. Podobno poganiała mnie wielokrotnie. Nie wiem. Nie pamiętam.

Przytuliłem ją by powiedzieć, dziękuję. Zwyczywała mnie nieprzyzwoicie. Jeszcze kilka godzin wcześniej bym się wściekł...

Nie szkodzi. Wiele jej zawdzięczam. Bardzo wiele. I pewnie nigdy już się o tym nie dowie.

Bryk zmarł o dziewiątej rano. Nie spałem.

Wiedziałem.

Od tej nocy zmieniło się moje życie.

Wszystko się zmieniło.

Wieczność się zmieniła.

Tysiące kart świętych ksiąg. Dowodzenie czegokolwiek i udowadnianie tegoż, stało się kompletną, bezużyteczną bzdurą. Bez tego jedyne doświadczenia, to wszystko jest puste jak dzwon. Głośnie, czasem wielkie, lecz puste. Beznadziejnie i bezdennie. Puste.

Dzięki szpitalnej prostytutce. Dzięki gnijącemu za życia, starcowi. Wiem, czego dotknąłem i wiem, gdzie i z Kim byłem.

Jedyne, czego naprawdę pragnie moje serce, to móc tam powrócić.

Tylko i aż tego.

Autor: Grzegorz Mniejszy

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl